Nr. 46. Poznań, niedziela 15-go listopada 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: Podgórna ul. Nr. 7. w podwórzu.

PRZEDPŁATA KWARTALNA wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: ul. Podgórna Nr. 7. **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.
Rękopisów drobnych niezwracamy.

TREŚĆ.

Partye i pisma polityczne *w Czechach.*

Nader zajmujący artykuł, skreślony piórem jednego z wybitniejszych czeskich polityków, a charakteryzujący pisma polityczne w Czechach, zamieściła wiedeńska „Volkspresse“. Artykuł ten nie pozbawiony pewnej tendencyjności, lecz zawierający sporo materyału faktycznego i trzeźwego sądu. podajemy poniżej w streszczeniu.

* * *

Z starych partyi politycznych *Staroczesi* są pod względem politycznym zupełnie bez znaczenia. Nie mówimy przez to jakoby „*staroczechizm*“ zupełnie zniknął z horyzontu, jakkolwiek spoczywa już na łożu śmiertelnem; Staroczesi dzierzą jeszcze: uniwersytet, akademię, muzeum, bank „Slavia“ i dzięki osławionej austryackiej ordynacyi wyborczej mają głos w radach powiatowych, gminnych i miejskich. Prasa ich natomiast zanika powoli coraz bardziej. Dziennik „Narodna Polityka“ zniknął z widowni, „Morawska Orlice“ stała się w połowie młodoczeską, „Polityk“ zaś — choć konserwatywna — staje się coraz bardziej od zarządu partyjnego niezawisłą, a „Ceska Politik“ jest prawie bez znaczenia, pozostaje więc tylko jeden „Hlas Naroda“ (!). Ów „Hlas“ nosił przedtem nazwę „Pokrok“, („Postęp“) ponieważ jednak sami jego opiekunowie widzieli w tej nazwie ironię, przeto przechrzcili swój organ, a ten pędzi żywot podtrzymywany subwencyami szlachty. Jego „*spiritus rector*“ jest profesor Albin *Braf*, a kierunek: feudalny, klerykalny, burżuazyjno-narodowy. Prowincyonalna prasa staroczeska zanika również coraz bardziej, po części staje się młodoczeską, w znaczniejszej atoli przechodzi w ręce klerykałów.

* * *

Wielką ruchliwość rozwijają klerykali. Wprawdzie tak jak i gdzieindziej są między nimi rozłamy, ale objawiają się one dotychczas tylko w literaturze; mianowicie wykształceni i poważniejsi księża odłączyli się od oficyalnej partyi klerykalnej i wydają „Katolicka Moderna“ z apologetyczno-naukowym i literackim miesięcznikiem „Hlivka“ (redaktor: Dr. Paweł Vychodil), jakoteż miesięcznik: „Nowy Ziwot“ (red. Dostał). Ów rozłam spowodowała brutalność i faryzeuszowstwo praskich i berneńskich dzienników klerykalnych, jakoteż ultraklerykalnego pisma „Vlast“ (red. ks. Skrdel). Jak owi „młodzi“ zachowują się pod względem politycznym, i czy własny program polityczny stworzą — dotąd rzecz niewiadoma.

Na wzór wiedeńskich chrześciańsko-socyalnych stowarzyszeń ukonstytuowało się niedawno w Pradze „stowarzyszenie katolicko-ludowe“, którego duszą ks. Simon, a na którego pierwszem zebraniu zjawił się nawet hr. Schonborn: zdaje się więc, że szlachta tutaj chce lud pozyskiwać. — Wypada też nadmienić, że równocześnie powstało inne jeszcze stowarzyszenie antysemickie „Ceska Drużina“, pod kierownictwem Jaromira Huśka, wydające pismo „Ceski Zajmy“. Kierunek tego stowarzyszenia: antysemityzm rasowy, nieco narodowy, panrossyjski, nieco socyalny (ale nie chrześciańsko-socyalny). Prócz tego istnieją naturalnie katolickie stowarzyszenia czeladników i robotników, a nadto postanowiono w ostatnich czasach zakładać katolickie stowarzyszenia dla kobiet.

Organ realistów „Cas“ atakuje tych panów ostro, a nadto kontragitacyę przeciw klerykałom prowadzą postępowcy z znakomitemi swemi tygodnikami „Lid“ i „Ruch“, jakoteż i socyalni-demokraci, zwłaszcza berneńskie pismo „Cervanky“. Między hierarchią a niższym klerem przychodzi wprawdzie do nader częstych starć, ale te starcia odbywają się za kulisami i rzadko kiedy przedostanie się z nich coś do publicznej wiadomości.

Klerykali rozporządzają dwoma dziennikami: „Cech“ w Pradze i „Hlas“ w Bernie, jakoteż kilkoma pismami prowincyonalnemi, prócz tego posiadają miesięczniki „Vlast“, „Hlivka“, „Novy Zivot“, beletrystyczno-naukowy dwutygodnik „Obzor“ i kilka klerykalnych pism fachowych. Pominąwszy wielką posiadłość, są klerykali zastąpieni w Radzie państwa przez narodowca i zwolennika prawa państwowego posła S. Webera, a w Sejmie przez słynnego pana Mixę, który dawniej, a nawet i w czasie ostatniej kampanii wyborczej kandydował jako Młodoczech i jako taki wybrany został.

* * *

Młodoczesi, których zwycięstwa w r. 1889 i 1891 były z takim ogromnym witane entuzyazmem — gorzko zawiedli pokładane w nich nadzieje. I zwycięstwo walne, odniesione zeszłego roku w czasie wyborów, powitano już całkiem chłodno (na 95 deputowanych z miast, małej posiadłości i izb handlowych wybrano: 90 Młodoczechów, 1 postępowca barwy „Radik. Listy“, 2 Staroczechów, 1 dzikiego (staroczech), 2 agraryuszy, 1 klerykała, wszycy ci jednak chcieli należeć do klubu młodoczeskiego!). Niezadowolenie z politycznego, prawnopaństwowego i ekonomicznego stanu w Czechach, objawia się już na dobre wśród młodoczeskich wyborców. Gdyby w tym względzie tajne układy klubu z Badenim nie odniosły rezultatu, a klub dalej mimo to uprawiał swą politykę oportunistyczną, to niezawodnie los Młodoczechów zostanie przypieczętowany. Wprawdzie zasiadają w klubie młodoczeskim niektórzy poważni, pod względem polityki i osobistego charakteru nieskażeni i wysoce inteligentni ludzie, ale w większości swojej klub ten jako całość, nie stoi na wysokości sytuacyi. To co powiedział „Cas“ o jednym z przewódców morawskiej partyi ludowej: „Polityczne jego wykształcenie jest niczem innem, jak rutyną dziennikarską, której może używać ze skutkiem w każdej partyi; wiele przestarzałego machiawelizmu — i nic więcej“, da się zastósować do większości tych panów. Gonitwa za popularnością i za dobrze dotowanemi posadami jest gwiazdą przewodnią większej części przewódców, a zaś pomniejszym rybkom brak ogólnego i politycznego wykształcenia, nie posiadają one zrozumienia potrzeb czasu i bywają tylko bądź to popychane jako nieświadome przez „zręczniejszych“ kolegów, bądź też przez interesa klasowe swoich wyborców, o kwestyach ogólnej natury nie mają pojęcia.

W kierunku politycznego i ogólnego wykształcenia ludu, Młodoczesi właściwie nic nie zdziałali; na wytrwałą, świadomą celu agitacyę nie potrafili się zdobyć. Przyobiecali wydawać tani demokratyczny dziennik, atoli obawa przed „Narod. Listami“, które przez to zagrożone byłyby w swej egzystencyi, skłoniła ich do złamania przyrzeczenia. Chcieli założyć młodoczeski tygodnik, ale i to na słowie się skończyło; dopiero w tym roku zdobyli się na wydawanie „po-

litycznej biblioteki", która jednak wiele pozostawia do życzenia. Celem uzyskania powszechnego, bezpośredniego tajnego prawa głosowania niezrobił klub nic, a to z obawy przed chłopami. Przeciw klerykałom również nic nie robią. Jedyne, co zrobili, jest: tegoroczna debata adresowa i zbliżenie się do szlachty. Klub, jakoteż cała młodoczeska polityka, stoi dziś pod komendą panów Herolda, Eima i spółki.

* * *

Agraryusze pod przewodem H. Rataja i Stiastny'go zachowują się w ostatnich czasach zdumiewająco spokojnie. Dotychczas występowali oni w południowych Czechach, sporadycznie tylko okazywali jaką taką ruchliwość i niezadowolenie swe z ludowej partyi morawskiej. Obecnie też objawia się w sejmowym klubie młodoczeskim pewien prąd agrarny, który dotychczas był tłumiony. Organem agraryuszów są „Selskie Noviny" w Taborze, redagowane przez Stiastny'go. Z młodszych prądów politycznych tworzą właściwie jeszcze tylko socyalni-demokraci zamkniętą i zorganizowaną partyę.

* * *

W całej „Czeskiej Modernie" odbywa się jeszcze ciągle silny ferment, jeszcze ciągle niewidać krystalizowania się, silnej postępowej, socyalnej partyi, chociaż „Rozhledy" (r. 1896 nr. 8) pisały: „Nowe zadania i potrzeby rosną i formułują się w naszym umyśle, wypełniają nasz mózg i zaprzątają całą naszą duszę. Nie ma już miejsca dla negacyi. Dziś pragniemy już mieć syntezę". A jednak do tej syntezy pozostaje jeszcze kawał drogi; trzeba jeszcze wiele, bardzo wiele pracy; a właśnie postępowcom brak głębszego filozoficznego wyrobienia się.

(Dokończenie nastąpi.)

POLITYKA.

Reforma prasowa w Rosyi.

W „Kuryerze Lwowskim" czytamy: „Powszechnie wiadomą" jest rzeczą, że razem ze wzrostem życia politycznego i umysłowego postępuje także wzrost prasy. Natomiast ustawodawstwo prasowe idzie daleko bardziej ospałym krokiem. Nie tylko w Austryi, ale i w Rosyi ustawy obowiązujące, dawno już nie odpowiadają faktycznym stosunkom i potrzebom. Ta dysproporcya jest źródłem bardzo poważnych i ważnych niedogodności. Stąd też myśl o reformie ustawodawstwa prasowego należą do najżywotniejszych w obu państwach. Warunki urzeczywistnienia tej myśli należą do najżywotniejszych w obu państwach. Co prawda, warunki urzeczywistnienia tej myśli w obu państwach są różne. W Austryi pomimo parlamentu i wolności druku myśl ta od wielu lat nie może postąpić ani o krok naprzód: Mamy dotychczas objektywkę i konfiskatę i stempel dziennikarski i inne dobrodziejstwa podobne. W Rosyi trudniej rzecz poruszyć, mimo to jednak obecnie, jak donoszą do „Neue Fr. Presse", zanosi się tam na zmianę ustaw prasowych. Powód do tej reformy dała głośna petycya literatów i dziennikarzy rosyjskich, wniesiona wkrótce na tron cara Mikołaja II, Mikołaj petycyi nie przyjął, ale kazał wręczyć ją ministrowi spraw wewnętrznych do zbadania i ocenienia. Durnowo, który był wówczas ministrem spraw wewnętrznych, odroczył wykonanie carskiej woli na czas nieokreślony. Ale i po ustąpieniu Durnowa petycya pozostała bez skutku, gdyż szef naczelnego zarządu prasy, czyli tak zwanego biura prasowego, Feoktistow, w obszernym memoryale wystąpił przeciwko żądaniom pisarzy i publicystów rosyjskich, nazywając ich pomysły zgubnemi dla państwa i społeczeństwa. Poparł go Pobiedonoscew w „Mosk. Zborniku", występując również przeciwko żądaniom, wyrażonym w petycyi.

Dopiero po ustąpieniu Feoktistowa nowy szef biura prasy Sołowiew wyraził odmienną opinię o liberalnych dążnościach pisarzy rosyjskich i wspólnie z ministrem spraw wewnętrznych, Goremykinem, wypracował projekt zmian, jakie należałoby zaprowadzić w ustawach prasowych.

Projekt ten przyznaje liczne ulgi prasie rosyjskiej. Przedewszystkiem projektodawcy projektują zniesienie cenzury prewentywnej dla wszystkich dzienników w Rosyi; dotychczas zaś bez cenzury wychodziły tylko dzienniki, wydawane w Petersburgu i Moskwie. Następnie mają być złagodzone dotychczasowe kary prasowe: w pierwszym rzędzie ma być zniesione zawieszanie dzienników za karę, co było nader uciążliwem dla dziennikarstwa. Niestety system ostrzeżeń ma być nadal utrzymany w sile, jak również pozbawianie dzienników prawa kolportażu za karę.

Zakładanie nowych organów prasy ma być dozwolonem każdemu niepodejrzanemu politycznie, przyczem ustanowiono dla kierowników prasy cenzus umysłowy, mianowicie kierownik czasopisma będzie musiał posiadać naukowy stopień uniwersytecki.

Dotychczas nie porozumiano się jeszcze co do tej kwestyi, czy przewinienia prasowe mają być karane w drodze administracyjnej, czy też mają należeć jedynie do kompetencyi sądów. Jak widzimy projektowane zmiany są doniosłe i mogą wywrzeć nie mały wpływ na położenie i znaczenie prasy w Rosyi.

Jeżeli zważymy, że w Rosyi stempla dziennikarskiego nie ma, a w razie zniesienia cenzury prewencyjnej i zawieszenia pisma za karę upadną najważniejsze zapory, hamujące rozwój prasy, to możemy sobie wyobrazić, o ile spotężnieje prasa rosyjska (mowa tu także o polskiej, wychodzącej w granicach Rosyi) w porównaniu z naszą.

Co się zaś tyczy ograniczenia, które od redaktorów wymaga wykształcenia uniwersyteckiego, to nie jest ono szkodliwem, lecz przeciwnie, może wyjść tylko na korzyść prasy, dając gwarancyę, że pismo prowadzone będzie przez człowieka światłego

---

Jan Dymitr Augustynowicz.

WYKLĘCI.

SZKIC.

I.

Stary jakut, który przyszedł właśnie przed chwilą do izby, by poprawić ognisko, ukończywszy grzebanie w niem osmalonym jakimś patykiem, zwrócił się do wysokiego Bratatałowicza i wyrzekł z niecierpliwionym, oschłym, niezadowolonym i pełnym złości głosem:

— Jak chcecie, pan Braczaczewicz, ja już u was dłużej nie wybędę, mnie nie potrzeba żadna wlec się po kątach, jak suka i szukać kości z tłuszczem do ogryzienia... Nie chcę was!... Szukajcie sobie innych, ja nie wybędę, nie potrzebuję głodu, nie nużda mi żadna, ja nawet kości pożądnej od was nie dostanę... Ja niechcę...

I powtarzając to ciągle w kółko miął w ręce poczerniały patyk i odwróciwszy się od Bratatałowicza, bełkotał coś dalej jeszcze z wzrastającą coraz więcej głuchą nienawiścią i niechęcią...

Bratatałowicz stał niemy, zdumiony tem, co nagle usłyszał i jakby niedowierzający... W oczach jego czytać można było, iż niechciał przypuścić, by to, co z suchej piersi jakuta wyszło, prawdą być miało... W skurczonych ustach przebijała się niemoc, w szeroko wpatrzonych w tuziemca tęczówkach niepojmowanie...

Po chwili wydusił zdumiony:

— Co ty, Rybka, pomięszania dostałeś, czy „gorzką" się upiłeś?... Co ty znowu?...

Jakut stał rozdrażniony. Odwrócił się szybko w stronę Bratatałowicza i mierząc go wściekłym wzrokiem, wybuchnął:

— Tak, wy to wiecie... Nie potrzebujecie mnie robić pijanym, ni pomięszaniem wyzywać... Już wy dobrze wiecie... Ja, pan Braczaczewicz, u was nie będę, nie będę... Rozumiecie, pan Braczaczewicz? powtórzył, przyskakując do wysokiego mężczyzny z wzrokiem iskrzącym, wymachując kościstemi bronzowemi rękoma, ja nie będę, nie będę!...

To mówiąc stanął i wpatrywał się w niego ze złością, a Bratatałowicz wzajem patrzał na jakuta z zdziwieniem niezmiernem, jakby mało z tego pojmując...

Naraz w drugiej izbie zapłakało dziecko... Załośne jego kwilenie poczęło przechodzić w płacz coraz gwałtowniejszy, aż potem zlało się w jeden krzyk niemowlęcy, doniosły, zgrzytliwy, wstrząsający...

Bratatałowicz drgnął i zdawało się, że zapomniał na chwilę o kłótni jakuta... Potem twarz jego się skurczyła, w oczach zaświecił ból...

Rybka zdawał się być niezmienionym i zupełnie obojętnym na to, co z drugiego pokoju dosłyszał... Wyraz twarzy jego tylko stał się więcej spokojnym, ale zato zaciętszym i uporczywszym... Stał pochylony nieco, a świecące białka jego oczów błyskały tu i ówdzie ponuro...

Dziecko zaczęło zawodzić coraz silniej...

— Rybka, kak tebe Boga ne strach takim człowikom byt?... Żali nie masz upamiętania nawet na taką chwilę?...

Lecz Rybka, który był jak uparte rozzłoszczone dziecko, powtarzał wciąż swoje dokoła:

— Ja nie mogę... Ja zdechnę... Mnie nawet kości nie dajecie... Ja niemam choć tyci tłuszczu... Mnie tu nie służba... Ja nie mogę...

Bratatałowicz, na którego wychudłej i znędzniałej twarzy odbił się straszny ból i przygnębienie, przemówił do niego raz jeszcze:

— Nie gub duszy, Rybka... Wierz przecie, że i ja już dawno tylko kości suche ogryzam, a co lepsze żonie oddaję... Przyjdzie lepiej, będzie i tobie tłuszcz i mięso... Na Chrysta molim cię, Rybka, nie porzucaj, człowikom bądź!...

Jakut wpatrywał się w mówiącego mężczyznę, jakby nic wiedząc o co chodzi i tylko nakszałt echa powtarzał wieczną swą strofkę, wraz z ostatniemi słowami Bratatałowicza:

— Człowikom bądź... Ani tłuszczu, ani mięsa... Psia służba... Nic niema... Cze-

Takiemu ograniczeniu i my w Austryi nie bylibyśmy tak bardzo przeciwni."

* * *

Ruch wyborczy wśród kobiet galicyjskich.

Do Dziennika krakowskiego piszą ze Lwowa.

„Wystąpienie na arenę walk wyborczych kobiet, naturalnie tylko „uprawnionych do głosowania", jest najcharakterystyczniejszym nabytkiem tegorocznych dopełniających wyborów sejmowych, które jutro zakończą się ostatecznie. Panie nasze uprawnione do głosowania, a więc właścicielki realności, sklepów i magazynów, oraz nauczycielki, zawiązały komitet przedwyborczy, pod przewodnictwem pani Katarzyny Wietrzyńskiej i wydały odezwę, że wszystkich wyborczyń jest we Lwowie około 1.400. Odezwę podpisały pp. Katarzyna Wieczyńska, Julia Barewicz, Wład. Dulębina, Marya Hoffmannowa, Stefania Kossowska, Anna Lewicka, Jadwiga Makusz, Ludwika Szwejcerowa, Sabina Teodorowiczówna i Magdalena Topolnicka.

Są to zatem pierwsze zbiorowo występujące w Galicyi pionierki na rzecz prawa głosowania wśród kobiet. Dziś po popołudniu o godz. 5 odbyło się w lokalu „Czytelni dla kobiet" pierwsze kobiece zgromadzenie przedwyborcze — niestety poufne. Przybyłych sprawozdawców dziennikarskich powitały panie „serdecznem przeproszeniem" i zapewnieniem, że same wrzucą sprawozdanie do skrzynek redakcyjnych. Chcąc cośkolwiek bodaj wydobyć dla Krakowa o tem wiekopomnem zgromadzeniu, zapytałem jednej z pań o kilka szczegółów, dotyczących udziału „wyborczyń" i przebiegu obrad, które wtedy właśnie były w toku.

Jest nas około 30 (na 1400 niestety nie wiele!) Jak pan widzi, więc i my już mamy do czynienia z „apatyą wyborczą". Dziś zdecydujemy się na jakiegoś kandydata i i na tem będzie koniec. Za wykluczenie panów przepraszamy jeszcze raz jak najmocniej; winna temu trema. Pierwszy raz radzimy nad wyborami."

LITERATURA I SZTUKA.

Z WIRCHÓW I HAL.

Cisza wieczorna.

1.

Rozmiłowana, roztęskniona,
Hen! od wieczornej idzie zorzy
Zamykać Tatry w swe ramiona.

Przed nią zawiewa oddech boży:
Wonie jedliczne i świerkowe
Ze swych lesistych wstają łoży.

A ona tuli jasną głowę
Do Osobitej, by wraz potem
Kłaść ją na piersi Giewontowe.

Po reglach muśnie li przelotem,
Czoło Świnniczne w żar rozpali
I Hawrań zleje krwawem złotem.

Tak mknąc po szczycie i po hali,
Z ogniem tęsknicy ginie w dali...

2.

Płonie kamienna Tatr korona,
A Cisza siada między granie,
Rozleniwiała, rozmarzona.

Nad przepaściami niema stanie,
Senność przelewa w mgieł opary,
Po skałach wiesza zadumanie.

Ani się ozwie bór prastary:
Ona milczeniem gniecie smreki,
Unieruchamia ich konary.

Przez cały przestwór, przez daleki,
Głuchą za sobą tęskność wlecze,
Snać dźwigającą wieki... wieki...

Za nią, jak zdrój, co ledwie ciecze,
Snują się ciężkie myśli człecze...

3.

Owiana mgłami różowemi,
Przystaje w drodze zalękniona,
Przykłada ucho swe do ziemi:

Nic!... tylko gdzieś tam echo kona,
Tylko przygasa obłok krwawy,
Tylko blednieje Tatr korona.

Pomrok osłania skalne ławy,
A od nich płynie do stóp Ciszy
Li jednostajny szmer siklawy.

Czasem zaklęty las zadyszy,
Albo wystrzelił krzyk pastuszy
I znikł... I ona znów nie słyszy

Nic w tej przelękłej, mrocznej głuszy —
Nic, prócz pojęku twojej duszy...

4.

Rozmiłowana, roztęskniona,
Schodzi powoli od miesiąca
Zamykać Tatry w swe ramiona.

Po halach srebrne krople strąca,
Srebrzy potoków seledyny,
Ciche pacierze szeptająca.

Upłazy tuli w całun siny,
Szkliwy, jak przędze te pajęcze;
Blask żenie srebrny na gęstwiny;

Blask żenie srebrny na przełęcze,
Na wichry, kopy, na grzebienie,
Na przepaściste ścian poręcze —

Blask naokoło srebrny żenie,
Z nim wyczerpanie i omdlenie...

5.

Opadły Tatry i omdlały,
Gdy na nie Cisza rozmarzona
Płaszcz zarzuciła wiewny, biały;

Gdy rozpostarła swe ramiona —
Srebrnej rozświetli mgławe smugi —
Garnące czoła gór do łona:

Jak pas szeroki, jak pas długi,
Od Lodowego do Krywania,
A z nimi puszcze, stawy, strugi,

Szczyt się przy szczycie ku niej słania...
Ona omdlenie wciąż rozsiewa.
Aż w tym bezkresie wyczerpania

Sama jak tęskna mdleje dziewa...
A z nią i ludzki ból omdlewa...

Jan Kasprowicz.

łowikiem bądź, nic nie dają, nie potrzeba, nie nużda... Człowikom...

A Bratatałowicz usiadł, jak kamień, na krzywym zydlu jakimś i dusząc w głowie, duszy i mózgu płacz i kwilenie dziecięcia, próżno wołającego pokarmu z piersi, która go prawie nie miała, myślał o okropnym losie swoim i tych dwojga związanych z nim istot, a płacz dziecka mięszał się z marmotaniem jakuta i zdawało się, że wszystko: dom, ściany, sprzęty i puste naczynia, że to wszystko powtarza za Rybką groźne i złowieszcze słowa:

— Tłuszczu niema... Mięsa niema... Psia służba, psia służba!... Niema tłuszczu... Niema mięsa...

II.

...Co wy, panie?... Ja nie mogę... Przecież widzicie, u mnie już i tak kuso... A co ja pocznę, jak gorsze zimna nadejdą?... Choć z głodu zdychać!...

— Trochę tylko, mało, pożyczcie... Oddam z pewnością, w środku zimy, po Bożem Narodzeniu zaraz...

— Nie mogę, sąsiedzie... Ot, chleba kawałek, chcecie, bierzcie... Soli trochę, tytoniu... Ale nic więcej, nie mogę...

Bratatałowicz szedł dalej. Może Batynka mu pożyczy... Wszak odda napewno... Aby tylko sam wydobrzał i żona po ciężkim połogu i złej chorobie choć na chwilę się zwlokła... Wszak i nadal do kowalki się wziąć będzie w stanie i choćby sekretarzowi pomódz...

Poszedł do Batynki. Otworzyli mu nieprędko. Wreszcie wyjrzała kosmata głowa:

— Kto tam „stuczy" na dworze?...

— Ja, Sergieju Wasilowiczu, otwórzcie, prośbę do was mam...

Po chwili ukazała się w sieni figura niewysoka...

— Wchodźcie, Bratatałowicz... Po pieniądze pewnie, zapomogę?... Aj, jaki ciężki rok, jaka ciężka zima!... A u was choroba i połóg... Jak ciężko!... Co powiecie Stanisławie Kazimierzowiczu?...

— Po dwa ruble was prosić przyszedł... Nie na długo... Na miesiąc... Da Bóg, oddam wam napewno... Niech mi żona wstanie i niech mi ręce tylko dosłużą... Rybka opuszcza...

— Choć skórę z siebie... Ni kopiejki w domu... Wczoraj Maliwkin ostatnią za smarowidło pobrał... Ani kopiejki przy duszy... Mam cztery... Weźmiecie cztery, Stanisławie Kazimierzowiczu?

Bratatałowicz próbował jeszcze u Sikory. Ale Sikora, który choć był poczciwy z kościami, lecz sam wiecznie w długach, wódką go tylko poczęstował, a gdy mu się zdawało, że brak chleba trzeba czemś wytłomaczyć, wyjąkał desperacko:

— Ot, choroba i tyle... Gorzałka jedna na zalanie robaka została i to dopóki człek nie zdechnie... Nawet pomału, to się tak i przyzwyczaisz, że nic do niej nie potrzebujesz, sama idzie, jakby smarowana...

Bratatałowiczowi, którego coraz groźniejsze widmo nędzy bez ratunku przerażało, przyszedł na myśl sekretarz, u którego czasem trochę papierów przepisywał... Teraz bujał on gdzieś po okolicy... Zdybał go jednak niedaleko „kabaku"...

— Niemogę, odparł stanowczo i opryskliwie... Roboty niema, zresztą nie podołasz... Słabyś bracie!... Pieniądze się u mnie nie rodzą, a własnych nie mam... Ni „dieniezki" bym ci nie dał, bo u samego goło, jak u świętego tureckiego...

Bratatałowicz powlókł się ciężko do domu... W głowie mu szumiało, w uszach gwizdało przeraźliwie... Zdawało mu się, że nic nie słyszy i że ciemne, ponure i groźne niebo, które wisiało ogromne po nad nim, powoli spływa ku niemu i obejmuje go zewsząd chłodnemi płatami swemi, przemienia mu głowę w bryłę...

W domu zaś był, jakby odrętwiały i tak przesiedział resztę dnia w skamienieniu...

III.

Ciężka rozpacz zawisła nad Polakami... Nędza, która ich żarła już od miesięcy paru, zbliżała się coraz więcej do nich, — dotkliwsza, straszniejsza, nie przebaczająca... Widmo jej włóczyło się teraz ciągle po kątach, po sprzętach, kołysce dziecka, wychudłem ciele matki, suchych członkach Brata-

Pisma A. Świętochowskiego.

(Tom I.)

Kiedy biorę książkę Aleksandra Świętochowskiego do ręki, pierwszą myślą, jaka mi się nastręcza, bywa za zwyczaj: użyję rozkoszy stylu.

Nie chcę przez to powiedzieć, iżbym nie spodziewał się znaleźć w pismach Świętochowskiego karmi dla rozumu lub fantazyi; przeciwnie, wiem z góry, iż jej braku wcale nie zaznam; — pragnę jedynie zaakcentować tę cechę znamienną, że karm owa podana mi będzie w formie wytwornie wykończonej, o którą autor dbał tyleż, co i o treść samą.

Styl nie należy w piśmiennictwie naszem do rzeczy, stanowiących troskę szczególną twórców. Po większej części idziemy i w tej sprawie za brzmieniem rubasznego przysłowia: „jak zwał, tak zwał, byle tylko dał". Świeżość, barwność, plastyka, oryginalność wyrażenia, lekkość, werwa, dowcip ukazują się w artykułach, rozprawach, powieściach dramatach o tyle, o ile wrodzony talent pewnego pisarza ma te zalety w zasobach swoich. Ale żeby do uprawy tych darów natury chciał ktoś u nas przykładać starania i baczności, to już należy do wyjątków.

A nie mam tu bynajmniej na myśli niedbalstwa, a nawet prostej niechlujności pospolitych pismaków, bazgrzących na kolanie, co im zdarzenia chwili do mózgu wsączają, lecz stosuję tę uwagę do najpierwszych i najznakomitszych gwiazd naszego literackiego podniebia. Świecą one tak samo jak gwiazdy na firmamencie odpowiednio do swojej wielkości, ale nieposiadają pospolicie ochoty, a może nawet świadomości, by blask swój natężać lub przyciemniać. Najlepsi nawet, największym talentem obdarzeni pisarze nasi nie chcą zadawać sobie trudu przeglądania i poprawiania swoich rękopismów, nie są czuli na pewne usterki nietylko względem subtelniejszego pojmowania stylu, ale nawet względem zwykłych pospolitych, elementarnych przepisów sztuki pisarskiej.

I tak np. można się prawie założyć, że rzadko przybędzie utalentowanemu pisarzowi na myśl uwaga, jak niezgrabnie brzmi dla ucha częste nieraz w jednem zdaniu parokrotnie powtórzone słówko *był, była, było*, jak ponawiające się na początku, w środku lub na końcu wyrazów dźwięki pewne, użyte bezwiednie, tj. bez zamiaru wywoływania szczególnego efektu, niemile drażnią słuch człowieka wrażliwego na formę wysłowienia. Dotychczas u nas zwracano uwagę na takie szczegóły w rozbiorze poezyi tylko, wytykając chropowatości wiersza; co do prozy, nie pamiętam, żeby ktoś w recenzyi czegoś podobnego się dopuścił; poczytanoby go zapewne za gruboskórnego pedanta, który wykładając stylistykę i poprawiając ćwiczenia swoich uczniów, nabrał przyzwyczajeń szkolarskich i chciałby niemi krępować twórczość utalentowanego ducha.

Dochowały się jeszcze u nas dotychczas oddźwięki z owej epoki, kiedy prawidła wszelkie zaczęto uważać za hamulec swobodnego lotu fantazyi. Dzisiaj, chociaż dużo się mówi o formie, chociaż niektórzy wyżej ją w twórczości artystycznej cenią od treści, kończą się te wybryki przeważnie albo na teoretycznem jeno uznaniu ich słuszności, albo też na ubieganiu się za dziwacznemi połączeniami wyrazów.

Mało kto chce pamiętać, że słowa składają się z dźwięków, że zatem dbałość o piękno formy sięgać powinna aż do tych ostatecznych składników wyrażania myśli.

Atoli nietylko o same dźwięki i ich połączenia idzie mi tutaj, gdy mówię o niedbalstwie stylowem; podobne spostrzeżenia zrobić można co do układu wyrazów, co do ich wyboru, co do kształtowania zdań, ich spajania w ustępy, czy okresy. Pod każdym z wymienionych tu względów w najświetniejszych nawet utworach współczesnych, np. w pismach Sienkiewicza znaleźć można bez wielkiego mozołu liczne przykłady nieuwagi, pośpiechu, niewrażliwości na szczegóły, że tak powiem, akustyczne stylu. Wszyscy prawie zapominają, że dzieło sztuki słowa przeznaczone jest nietylko dla umysłu, ale także dla słuchu.

Świętochowski stanowi w tej mierze jedyny wyjątek.

Od początku swego literackiego zawodu, tj. od czasu, gdy publicystyką zajmować się zaczął, nie zaufał on wyłącznie wrodzonemu talentowi swemu, subtelnemu poczuciu stylu, lecz starał się go kształcić i doskonalić: a kiedy się wziął do tworzenia dzieł sztuki, dramatów i powieści, jeszcze usilniej nad owładnięciem narzędzia twórczego pracował. Wszelka niepoprawność, chropowatość, pospolitość raziła go, jak „zgrzyt żelaza po szkle"; ztąd popadał niekiedy w ostateczność, w zbytnią wytworność wyrażenia, która niezawsze licowała z temperamentem i ukształceniem osób rozmawiających: — ale wskutek takiej pieczołowitości o styl, wyodrębnił się od całej grupy współczesnych prozaików.

Jeśliby wszakże wysłowienie Świętochowskiego posiadało tylko zalety, o których dotychczas mówiłem, mielibyśmy w nim pisarza poprawnego i wytwornego. Jest on jeszcze czemś więcej, bo stylistą oryginalnym. Jak najkrócej wyrazić, na czem ta oryginalność polega? Możnaby powiedzieć, że na szczególnej zwięzłości pełnej blasku.

Niejednokrotnie Świętochowski wyrzucał naszym autorom dawnym i nowym gadatliwość, rozwlekłość i wodnistość. Sam też w stylu swoim chciał być i został przeciwstawieniem wad tych, u nas nieomal zakorzenionych: skondensował swe wyrażenia tak, iż dla niewprawnych w myśleniu mogą się one niekiedy zagadkowemi wydawać, a opromienił je taką świetnością, że migocą się one, jak drogie kamienie. Świetność tę czerpie autor częściej z umiejętnego, artystycznego zestawienia pojęć, wytwarzających świeże, oryginalne przenośnie, aniżeli ze świata zjawisk zmysłowych, któremi od wieków posługiwali się poeci.

Nie nazwałbym Świętochowskiego „kolorystą" w stylu, ponieważ w obrazach jego zauważyć można niewiele ciepłych barw; jest to raczej mocarz słów „lśniących jak mozajka", chociaż rzadko „śpiewających jak słowiki", jest to artysta, rozporządzający nadzwyczaj bogatem słownictwem, obeznany doskonale z właściwościami wyrazów i zwrotów przez siebie używanych, wybredny w wyborze i doborze każdej cząstki, składającej się na frazes, czuły niesłychanie na harmonię dźwięków, świadomy tajników zarówno mowy jak myśli, zasobny w dowcip wytwor-

---

tałowicza, po niechlujnym i dzikim Rybce wreszcie...

Wyciągała coraz więcej ku nim długie swe, ciemne ramiona i owijając ich niemi powoli, wołała, jakby z uporem.

— Pójdźcie, ja was wszystkich utulę... na zawsze!...

Bratatałowicz się wzdrygał, szukał ratunku, pomocy, oparcia... Starał się ją zażegnywać, odpychać, usunąć i przegnać na zawsze... Jednak ona zdawała się być mocniejszą i więcej stalszą od niego, z większym niż jego uporem sięgała po tych czworga i wyszczerzając do nich straszne swe zęby, nie przestawała nawoływać jednako:

— Pójdźcie, ja wam ukojenie dam!...

A polak chciał żyć i życiem swem dwie ukochane istoty od śmierci ocalić!... Tem straszniejszem było jego uczucie, gdy codziennie kładąc się na nędzny barłóg, całe noce przelegiwał z wlepionemi w jeden punkt, jak słup, oczyma i widział, jak na jawie, że ta, co tam stała, odarta i bezczelna, zwycięży go wreszcie i pociągnie za sobą tam, gdzie wskazywała jemu i tym dwojgu spokój wieczny i niezmącony...

A przecież drżał na tę myśl i pożądał życia dla nich i dla siebie...

Teraz spełnił się kielich... Jedyna pomoc obecna i podpora, nieoceniony i niezastąpiony niczem Rybka, porzucał ich i szedł w świat między ludzi ocalić choć siebie i nie dać zamrzeć sobie nędznie, marnie, śmiercią głodową...

Dla czegoż nie miał tego uczynić!?...

Bratatałowicz szarpał włosy...

Czy co wiązało go z nimi. czy był ich bratem, przyjacielem, psem?... Czy przysiągł im wierność do grobu, czy związał los swój z ich losem?... Czy przyrzekał im zostać i te parę tygodni żywić ich swą pracą?... Wszak on był wolnym nędzarzem, któremu wszystko jedno, przy jakim ogniu chleb swój jeść będzie, byle go miał poddostatkiem, byle go uczciwie zarobił?... Czyż jego można było winić?...

A jednak Bratatałowicz, gdy teraz przygnębiony i zupełnie zda się złamany, myślał nad tem, to mu się dusza wzdrygała, że ten jakut tak czyni. Gdy w długie bezsenne noce słyszał donośne kwilenie dziecięcia i ciężkie, halucynacyjne poruszenia żony, gdy czasami krótko na chwilę zajęczał jej kaszel suchy i zamarł w cichem rzężeniu, gdy jego czasami samego nachodziły jakieś wizye i widzenia, i gdy to wszystko pomieszawszy się z sobą, tańcząc w piekielny takt dokoła, szalało żywe, a jednak niewidzialne, wtedy sądził, że to ostatnie przejawy życia przychodziły i w brutalny, dziki jakiś sposób dawały znać o sobie... Jedynem wspomnieniem, którem usiłował zażegnywać te mary, była myśl o obecności Rybki, który do tej pory zręcznością swoją, posługami i pracowitością, zdobywał u obcych coś nie coś i podczas gdy on, sam po ciężkiej chorobie niewyleczony, dniami całemi nie opuszczał barłogu chorej żony, zapatrzony w nią błędnie i niebezpiecznie chorą najtroskliwszą opieką otaczający, Rybka biegał po mieście i pomagał do żywienia rodziny... Teraz było najgorsze i najlepsze. Nie żyć im już było na tym świecie... Wiedział, co ich czeka, a jeśli umierać, to wszystkim... Jakut opuszczał ich z postanowieniem niezłomnem... Nawet jego silna natura okazała się niezdolną do dalszego przenoszenia tego życia, i to co powiedział, prawdą było... Opuszczał ich nieodwołalnie, a nad nimi zawisnął...

— Grób, tylko cichy, spokojny, dobry grób!... wyszeptało z niemą prośbą, blade widmo, które Bratatałowicz ciągle widział, jak stało w rogu i z chciwością łowiło bieg jego myśli....

Niedaleko zaś, na paru skórach wytartych, niedojrzany przez bladą postać, leżał Rybka i szarpiąc ręką w ciężkim śnie, od czasu do czasu jakby jęczał żałośnie:

Nie mogę... nie mogę... Taka psia służba... I mięsa nie dajecie i tłuszczu nie dajecie i nic... Dopóki mogłem, to siedziałem... A teraz nie mogę, nie mogę, nie mogę...

Bratatałowicz zwrócił nieprzytomne swe oczy na bredzącego jakuta, i w głuchej ciszy izby powtórzył za nim, jak echo, błędnie:

— Nie możesz, nie możesz, nie możesz...

Naraz w jego oczach coś zaświtało, nic złowieszczego, lecz ogromnie spokojnego i niecofniętego...

— I nie potrzebujesz, Rybka, nie potrze-

ny, skłonny do antytez i epigramatycznego sposobu formułowania swych wywodów i określeń.

Długie to wyliczenie zapewne nie wyczerpuje wyszystkich cech stylu Świętochowskiego, bo subtelność jego wysłowienia nie da się ująć w jakąś formułę już znaną — a to samo właśnie dowodzi najlepiej jego oryginalności.

(Dokończenie nastąpi.)

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Państwo żydowskie

Do niedawna można było całe żydowstwo dzielić na dwa wielkie obozy: z jednej strony asymilatorzy-postępowcy, dążący do wyemancypowania żydów zarówno z pod ucisku obcych społeczeństw, jak z własnych zastarzałych przesądów i wyobrażeń, z drugiej prawowierni zacofańcy, stojący niewzruszenie przy dogmatach zakonu, separyzujący się dobrowolnie i z umysłu od reszty społeczeństw i upatrujący w tem odosobnieniu jedyną gwarancyę zakonserwowania swej odrębności narodowej i religijnej. Pierwsi należeli do przeróżnych partyi politycznych, przyczem każdy z nich na swój sposób dążył do asymilacyi; drudzy, unikając wszelkiej styczności z nie-żydami, nie brali wcale udziału w życiu politycznem, jakkolwiek przeważnie popierali rząd, upatrując w tem jedyną możność zabezpieczenia sobie ewentualnej pomocy jego przeciwko napaściom i wybrykom antysemitów. Obecnie wypada się liczyć z nową partyą żydowską, która przybrała nazwę „syonistycznej". Należy ją ściśle odróżnić od ortodoksów, z któremi nie wiele ma wspólnego, podobnie jak cele jej i aspiracye wręcz są sprzeczne z celami asymilatorów.

Syoniści wychodzą z założenia, że wszelkie próby asymilowania żydów okazały się bezowocnemi. Rozbijały się zarówno o niechęć i wprost wrogie usposobienie społeczeństw nieżydowskich, jak o odporność żydów samych. Naród, który mimo wiekowego ucisku i prześladowań, potrafił utrzymać swoją indywidyalną odrębność, — rozumują oni — nie może zlać się z innemi, nie tylko nie może, ale przedewszystkiem nie chce. Naród taki musi przeciwnie dążyć do utrwalenia swego bytu narodowego, a ostatecznym celem jego być musi: samodzielność i niepodległość. Nie godzi się to z godnością narodu, który odznacza się niesłychanem bogactwem sił żywotnych i zasobów intelektualnych, aby wpraszał się do obcych, aby żebrał u nich litości i zbierał okruchy łaski, które mu ci wspaniałomyślni rzucają; naród ten ma dosyć sił, aby samemu sobie pomódz, aby własnemi siłami starać się o utrzymanie swego bytu, a w przyszłości dążyć do niepodległości i swobody. W istniejących więc warunkach separować się od społeczeństw innych i wzajem sobie tylko pomagać, rozbudzać i rozwijać w sobie poczucie godności narodowej i świadomość odrębności indywidualnej, przestrzegać gorąco wiary i obyczaju ojców: oto program na teraz; stworzyć kiedyś w przyszłości państwo samodzielne: oto program na przyszłość.

Na pozór zdaje się, że pokrewieństwo dążeń łączy syonistów z partyą hasydów. Nic mylniejszego! Syonizm nie pragnie zamknąć żydów w średniowiecznych *ghettach;* on chce ich podnieść do wysokiego poziomu kultury i oświaty, tylko bez pomocy i współudziału innych społeczeństw, on chce wskrzesić dawną literaturę żydowską, powołać do życia narodową organizacyę polityczną, w końcu — żydowskie państwo, które jednak niema być średniowiecznem państwem feodalnem pod protektoratem możnych rodów i „wielkich" rabinów, ale nowoczesną republiką, wyposażoną we wszytkie zdobycze cywilizacyi i kultury, stojącej na wyżynie współczesnych prądów. Tu jest właśnie przepaść, dzieląca go od hasydyzmu. Syonizm łączy z asymilatorami dążenie do oświaty i kultury; z hasydami dążenie do zakonserwowania wiary i obyczaju narodowego; od obu dzieli go dążność do separatyzmu politycznego i socyalnego, który jednak niema być separatyzmem umysłowym.

Jak w każdym programie politycznym, największą wagę ma oczywiście cel ostateczny, który w danym wypadku przedstawia się jako dążenie do stworzenia państwa żydowskiego. W dotychczasowych enuncyacyach syonistów cel ten występował bardzo niewyraźnie, otoczony grubą mgłą. Było to marzenie, które otwierało wdzięczne pole do rozmyślań, lirycznych ekspresyi, nacechowanych iscie oryentalną bujnością fantazyi, dawało sposobność do wygłaszania pełnych polotu mówek na wieczorkach i zgromadzeniach, lecz do praktycznej dyskusyi politycznej nie nadawało się.

Obecnie znalazł się ktoś, który marzenie to przedstawił w realnym kształcie. Teodor Herzl, znakomity feljetonista, były korespondent paryski do „Neue Presse", wydał przed niedawnym czasem broszurę, zatytułowaną: „Państwo żydowskie"[1]), w której wystąpił z gotowym projektem nowego państwa. Bardziej zdumiewającym, niż sam projekt, jest fakt, że pochodzi on od Herzla. Autor znany jest w świecie literackim jako publicysta wytworny, cięty na wzór Heinego, pełen delikatnej ironii, i gryzącego sarkazmu, przytem sceptyk-dekadent, który gotów wszystko ośmieszyć dla efektu stylistycznego. Wielka bystrość obserwacyi, sztuka krótkiego — możnaby powiedzieć „telegraficznego" — charakteryzowania osób i sytuacyi, niezwykła kokieterya stylu, która pozwala mu częściej olśnić czytelnika, niż przekonać, w połączeniu z brakiem ciepła wewnętrznego i pewną oschłością, że nie powiemy zblazowaniem — oto są cechy pisarza, który, mimo swych łamańców stylistycznych, jest jednym z najwybitniejszych publicystów niemieckich. Zbiór sylwetek pierwszorzędnych parlamentarzystów francuskich, ogłoszony przez niego w odcinku „Neue Presse", a wydany potem osobno pt. „Palais Bourbon" — to arcydzieło swego rodzaju, jakiemu mało równych.

[1]) Der Judenstaat. Versuch einer modernen Losung der Judenfrage von Teodor Herzl, Doctor der Rechte. Lipsk i Wiedeń 1896.

---

bujesz, nie!... dodał dziwnym jakimś głosem, zrywając się z barłogu swego pod ścianą. O! nie będziesz potrzebował!

To mówiąc, podszedł do kominka pod wędzarnię i wziąwszy ztamtąd duży ostry nóż, który służył zwykle do czyszczenia skór reniferowych, stanął pośrodku izdebki z rozszerzonemi, wpatrzonemi uporczywie w widmo oczyma i począł szeptać coraz prędzej i głośniej, jak człowiek, będący w wielkiem podrażnieniu, lub pobudzeniu:

— Panie Boże, jeżelim zgrzeszył, odpuść mi! Panie Boże, jeżelim przewinił, przebacz mi... Jeżelim kogo skrzywdził, nie pamiętaj mi tego...

— Panie Boże, daj mi dość siły, bym to uczynił, a jeśli ręka moja by zadrżała, dodaj mi Boże rozpaczy...

— I wiedz Boże, że nie z podłości to czynię, lecz dla skrócenia mąk... I jeśli nie widzisz cierpień jej i tego stworzenia niewinnego, ulituj się nad nami i wejrzyj... A jeśli przeklinać będziesz, powstrzymaj rękę swą nieubłaganą i nie rzuć kamieniem... A gdy już będziemy bryłą, wejrzyj na katusze nasze i przyjmij nas na łono swoje... Ulituj się, Boże Najwszechmocniejszy, i przebacz... Zbaw nas od zguby wiecznej i pamiętaj w straszną godzinę sądu Odkupicielu i Zbawicielu... — To jęcząc, — przestąpił próg izby sąsiedniej i po chwili w niej zniknął.

* * *

Na drugi dzień stary jakut, który zwlókł się z posłania swego z trudem nieopisanym, zmęczony chorobliwym snem, w jaki wycieńczony zapadł, został niepomiernie zdziwiony widokiem, który się jego oczom w sąsiedniej izbie, do której się po bezskutecznem nawoływaniu udał, przedstawił:

Na tapczanie, z głową owisłą na dół, leżało zbroczone krwią, z piętnem silnej choroby na sobie, ciało młodej kobiety, niedaleko z zaciśniętemi piąstkami już nieżywe spoczywało niemowlę, a na glinianej podłodze twarzą do ziemi zwrócony i z rękoma na krzyż rozłożonemi i kurczowo zaciśniętemi, walał się długi trup Bratatałowicza... Obok niego kałużami czerwieniła się skrzepnięta krew.

— Co to, co to? szepnął jakut... Nieszczęście... Straszne... I już nic nie mieli do jedzenia. Ostatnią kość ze szpikiem wczoraj im od Czartkowa przyniosłem... A ona nawet niemowlęcia czem karmić nie miała... Nieszczęście!... I Bóg nie uchronił i zarżnęli się, zarżnęli, i nie ma ich, nie ma!...

Strach jakiś i niepokój zaczęły go opanowywać...

Potem starał się owładnąć tem uczuciem, ale miast otrząść się z niego, poddawał mu się coraz więcej... W końcu drgnął parę razy i patrząc z wzrastającem przerażeniem na nieżywą kobietę i martwego trupa Bratatałowicza, zdawał się wylękłemi i szklanemi swemi oczyma niepojmować tego, co tu zaszło... Wreszcie nie wytrzymał i z wzmacniającem się uczuciem panicznego strachu, począł cofać się ku drzwiom. Czuł jak mu się włosy zjeżyły na głowie i jak w skroniach zaczęło tętnić coraz bardziej.... Po chwili wrzasnął głośno przeraźliwie:

Pan Braczaczewicz, pan Braczaczewicz!... Ja zostanę u was, wy nie umierajcie, ja zostanę u was, wy nie umierajcie, ja zostanę!.

Ale Bratatałowicz, który był już nieżywy, zaśmiał się na to tylko wzgardliwie i z gorzką ironią powtarzać zaczął:

— Nie gub duszy, Rybka... Przyjdzie lepiej, będzie i tobie tłuszcz i mięso... Na Chrysta molim cię, Rybka, nie porzucaj, człowikom bądź!...

Jakutowi pociemniało w oczach... Potem schwycił się za głowę i wyleciawszy z domu jak szalony, począł krzyczeć ratunku w niebogłosy... Ten i ów wyjrzał z chałupy, niektórzy przybiegli mu na pomoc, ale gdy weszli do domu Polaka, ujrzeli go tylko martwego, leżącego z rozkrzyżowanemi rękoma na ziemi i wychudłemi swemi ramionami, jakby broniącego kobiety i dziecka, których zamordował...

Monachium 1896.

KONIEC.

Ten tedy Herzl nagle wystąpił z praktycznym projektem stworzenia samodzielnego, niepodległego państwa żydowskiego. Człowiek, który nigdy się nie zapalał, który ani na chwilę nie wychodził z roli „genialnego kpiarza“, który raczej o brak wszelkich przekonań dałby się posądzić, niż o dogmat, zapała się nagle do j e d n e j myśli, jak pierwszy lepszy dziennikarz z prowincyi. Nie wolno nam ani na chwilę przypuszczać, że sprawy na seryo nie traktuje. Autor omawia kwestyę z całą powagą, i choćby nawet nie było wplecionych w jego dziele tu i owdzie wskazówek, aby autora traktowano „na seryo“ (uczynionych zapewne ze względu na przeszłość autora jako feljetonisty), sam układ dzieła, sposób pisania, wreszcie treść sama, świadczą wymownie, że autor rzecz traktuje z całą powagą, z głębokiem przekonaniem wewnętrznem i ciepłem, które się udziela i czytelnikowi z widocznym zamiarem przekonania go, z wiarą w słuszność swoich wywodów. Skąd to wszystko bierze się u autora „Palais Bourbon.“ Nikt pono tak idealizmu blizko nie stoi, jak dekadent; nietylko du sublime au ridicule, — od zwątpienia do wiary, od apatyi do zapału także tylko jeden krok. A zresztą któż nam ręczy, że osądziliśmy autora trafnie. Kto zapewni, że w istocie jest takim, jakim znamy go z jego pism? Któż wie, czy pod powłoką szyderstwa nie bije gorące serce, nie kryje się czynów łaknący umysł, ciepłem życia tchnąca indywidualność.

Autor rzecz swą rozpoczyna od skonstatowania przyczyn antysemityzmu i krytyki dotychczasowych sposobów rozwiązania kwestyi żydowskiej. Według zdania jego antysemityzm doby współczesnej nie jest wynikiem fanatyzmu religijnego. Ten bowiem oddawna już przestał istnieć. Kwestya żydowska jest kwestyą przedewszystkiem narodowościową. Nienawidzą żydów, bo są... żydami.

Wszystkie społeczeństwa europejskie są otwarcie lub skrycie (verschämt oder unverschämt) antysemickie — zwłaszcza lud. Dowodem najwierniejsze objawy opinii ludowych: przysłowie i bajka. Nienawidzą żydów nietylko dla ich wad, jeszcze w wyższym stopniu dla ich zalet. Ważną niezmiernie rolę odgrywają stosunki ekonomiczne. Emancypacya żydów nastąpiła zbyt późno. Żydzi byli już wtedy skrystalizowaną masą, niezdolną do zupełnego zasymilowania się. Po emancypacyi znaleźli się w sferze burżuazyi, są bowiem narodem, należącym do średniej warstwy społeczeństw (Mittelstandvolk). Z powodu specyalnych uzdolnień i historycznego rozwoju, w warstwie tej zdobyli przewagę ekonomiczną, narażając się przez to na zazdrość pokonanych konkurentów zarówno, jak proletaryatu. Ta zawiść (z pobudek ekonomicznych płynąca) w połączeniu z wrodzoną awersyą ludów do żydów stworzyła antysemityzm. Jakkolwiek kierunek ten wzrasta z dniem każdym i coraz to staje się gwałtowniejszym, przecież nie grozi żydom utrata równych praw obywatelskich. Akcya w tym kierunku przeciw żydom podjęta nie da się pomyśleć. Bo po pierwsze byłaby sprzeczną z ogólnemi pojęciami współczesnemi, a następnie spowodowałaby natychmiastowe przejście wszystkich żydów do partyi przewrotu. A jednak stan żydów jest nieznośny. Nie prześladują ich tak, jak w średnich wiekach, a przecież i obecne szykany — acz bez porównania mniej bolesne — nie mniej dotkliwie dają im się we znaki, bo są teraz wrażliwsi.

Kwestya żydowska zaognia się przez to, że żydzi produkują nadmiar średnich inteligencyi (adwokatów, lekarzy, techników itp.), które nie mając odpływu do urzędów, zaostrzają między żydami samemi walkę konkurencyjną i przy równoczesnym nacisku ze strony burżuazyi chrześciańskiej przyspieszają sproletaryzowanie tychże. W ten sposób pod wpływem nacisku z zewnątrz i wewnątrz, żydowski stan średni upada prędzej jeszcze, niż chrześciański, podobnie też proletaryat żydowski bardziej cierpi od chrześciańskiego. Z jednej strony wzrasta kolosalnie potęga finansowa wielkich kapitalistów żydowskich, z drugiej straszna nędza proletaryatu. Zarówno w obozie kapitalistycznym, jak i socyalistycznym żydzi stoją na najskrajniejszych posterunkach. Wynika z tego, że ewentualna walka socyalna pomiędzy niemi w pierwszym rzędzie musiałaby być stoczoną, skazując obie strony — jako na pierwszy ogień idące — na zagładę. Dla tego socyalizm — tak bardzo dla kwestyi żydowskiej groźny — rozwiązać jej nie może.

Pozostaje drugi system: asymilacya. Jest ona utopią. Żydzi starali się wszędzie usilnie o rzetelną asymilacyę. Pomnażali bogactwo narodów, wzbogacali ich literaturę, naukę i sztukę, przelewali za nie krew — wszystko napróżno. Narody nie chcą, by żydzi się zasymilowali. Lud jest im przeciwny. Lud wprawdzie jest wszędzie jeszcze wielkiem dzieckiem, któreby można wychować, ale wychowanie to zadługoby trwało... Jedyny sposób asymilacyi, to małżeństwa mieszane. Te jednak nie kojarzą się z powodu niechęci chrześcian. Żadna ustawa na to nie pomoże. Jedynym środkiem, któryby był zdolny zniewolić do tego chrześcian — to potęga ekonomiczna żydów. Gdyby wszyscy żydzi doszli do wielkiej potęgi finansowej, wówczas małżeństwa mieszane stałyby na porządku dziennym. Dowodem: magnaci żydowscy, którzy kojarzą się ze szlachtą chrześciańską. Taka potęga finansowa jednak w stanie średnim, a cóż dopiero w proletaryacie żydowskim, nie da się pomyśleć, bo żydzi są mniejszością, która w dodatku nie posiada władzy ani wojskowej, ani administracyjnej.

Prócz tych głównych sposobów rozwiązania kwestyi żydowskiej są inne, podrzędnego znaczenia — również bez wartości: 1) kolonizacya, 2) osadzenie żydów na roli. Żydzi emigrujący albo giną w nędzy, albo dochodzą do dobrobytu; w takim razie powołują do życia antysemityzm i w ten sposób importują go tam, gdzie go dawniej nie było. Co się tyczy schłopienia żydów, to środek ten jest anomalią. Wobec postępów techniki, chłop ze swojemi prymitywnemi narzędziami staje się z każdym dniem coraz bardziej śmieszną figurą, skazaną na zagładę. Zresztą sami chłopi — wobec smutnych stosunków agrarnych — niedopuściliby żydów do roli, obawiając się słusznie konkurencyi.

(Dokończenie nastąpi.)

Z estrady i sceny.

(Odgrzewana miłość. Komedya w 5 aktach Żegoty Krzywdzica).

Chcąc na wstępie dzisiejszej recenzyi rozstrzygnąć pytanie, czy talent prawdziwy przemówił do nas z sobotniej premiery, jestem w niemałym ambarasie. Kategoryczne „tak“ byłoby równym fałszem, jak kategoryczne „nie“. Wątpię bardzo, czy p. Żegota Krzywdzic napisze kiedykolwiek dobrą sztukę, nie wątpię jednak, że może napisać utwór, który chwilami zajmie, zaciekawi, i poruszy publiczność. Posiada on bezwarunkowo znajomość sceny, poznał tajemnicę faktury dramatycznej, umie akcyę poprowadzić żwawo, umie nawet portretować życie, lecz wszystko to psuje i krzywi brakiem smaku i miary artystycznej. Jest on, jak aktor niepozbawiony głosu i rutyny, lecz spekulujący wiecznie na gusta galeryi, przylepiający do każdej roli trzaskające karmelki i poświęcający dla chwilowego efektu prawdę i logikę. Sztuka zajmuje, lecz zgrzyta i skrzypi mnóstwem dysonansów.

Zanim uzasadnię powyższe twierdzenie, muszę chociaż w dwóch słowach zapoznać czytelnika z treścią sobotniej premiery.

Obywatel ziemski p. Ciot, owdowiały ojciec dorosłej córki, poślubił młodą rozwódkę Matyldę. W chwili, gdy się kurtyna podnosi, Matylda jest w trakcie powtórnego zakochania się w swoim pierwszym mężu Tarkiewiczu, którego dobra sąsiadują z majątkiem Ciota. Kosztem prawdopodobieństwa nić zerwana znowu się nawięzuje, i gdy się akt drugi rozpoczyna, rozwiedzeni małżonkowie odgrzewają już na dobre wystygłe afekty na zabawie połączonej z loteryą fantową i teatrem amatorskim w domu państwa Ciotów. W towarzystwie znajduje się także naczelnik rosyjski Kobylin wraz z małżonką swoją, — dwie postacie posiadające niewątpliwie sporo plastyki, życia i humoru. Kobylinowie sympatyzują z Polakami i chętnie do obywatelskich zaglądają domów, a szlachta ceniąc ich serca i urzędowe przysługi, drzwi im gościnnie otwiera, lubo pani naczelnikowa uśmiecha się czule do butelek z złotemi szyjkami i pogodzić nie może „szerokiej natury“ z formami polskiego salonu.

Szumi tedy zabawa. — Matylda i Tarkiewicz odgrzewają miłość, — Kobylinowa już się do „kozaczka“ zabiera, a młoda Bronka, córka pana Ciota z pierwszego małżeństwa, grucha na stronie ze Stachem, — tajemniczym młodzieńcem, który tu przybył z daleka i podobno składki zbiera na Unitów. Nagle uderza grom z jasnego nieba. Kobylin otrzymuje rozkaz telegraficzny aresztowania Stacha. Nie uczyni tego, nie brzęknie łańcuchem w tym gościnnym domu. Odbiera tylko słowo od młodego patryoty, że nazajutrz sam stawi się w biurze dla spisania protokółu.

Nazajutrz jednak przyjeżdża na śledztwo wysłannik żandarmeryi warszawskiej, niejaki Mordowcew. Poczciwa Kobylinowa uprzedziła wprawdzie Ciotów o grożącem niebezpieczeństwie i zaopatrzyła Stacha w paszport fałszywy, lecz wśród krzyżowych pytań zręcznego agenta plączą się fatalnie wszyscy podsądni. Ostatecznie w skutek nietaktownego zachowania Mordowcewa robi się awantura, grzmią strzały, błyskają pałasze.

Akcya przenosi się teraz do miasta gubernialnego. Ciota i Stacha wtrącono do więzienia, a rodzina czyni starania, aby ich przed Sybirem ocalić. W trakcie tych zabiegów wplątał się Tarkiewicz na dobre w awanturę miłosną z swoją eksmałżonką, którą w czasie wizyty Mordowcewa ranił wystrzałem sołdat rosyjski. „Odgrzawszy“ dawne zapały postanawia uciekać zakochana para. Bronka jednak odkrywa ukryte plany, a stryjenka Tarkiewicza, panna Jastrzębianka, surowa i rubaszna werystka, przedstawia Matyldzie tak energicznie nikczemność jej postępowania, że pani Ciotowa rozwodzi się po raz drugi z swoim eksmałżonkiem i wraca na drogę obowiązku. Po burzy słońce — nach berühmten Mustern... Mordowcew otrzymawszy od Ciotów 3000 rsr. jako „honoraryum“ zdaje korzystny raport do Warszawy, — Ciot wraca z więzienia na łono rodziny, — Stach ucieka za granicę, a goni go tylko zakochana Bronka.

Taką jest fabuła sztuki. Nie uznaję za właściwy zarzut jednego z recenzentów poznańskich, że kardynalnym błędem utworu jest zbudowanie grzesznego romansu na patryotycznym podkładzie. Z takiego splątania ludzkich ułomności z szerokiem tłem polityczno-narodowych stosunków mógł powstać dramat wstrząsający, gdyby nici intrygi łączył prawdziwy artysta. Ale p. Żegota

Krzywdzic artystą jest tylko w połowie i nie troszczy się ani o prawdopodobieństwo sytuacyi, ani poczucia rzeczywistego piękna w duszy swej nie nosi. Pomijam już zupełnie owe konie, które Matylda drażni umyślnie, aby ją uniosły, potrzaskały powóz i w ten sposób zmusiły eksmałżonka, aby ranną do swego domu wprowadził, — pomijam drobne nieprawdopodobieństwa w tej galopem „odgrzewanej miłości“, — ale zdaje mi się, że publiczność ma prawo spytać się autora o dzieje tej kobiety, która dziś zaślubia jednego, jutro się rozwodzi, pojutrze z drugim staje do ołtarza, a w tydzień znów wraca do pierwszego. Na świecie dzieją się tak dziwne rzeczy, że ostatecznie coś podobnego wydarzyć się mogło, ale w takim razie autor powinien powiedzieć wyraźnie, dla czego rozwód nastąpił. Ogólnikowe wyznanie Matyldy, że cała wina ciąży na niej samej, nosi piętno ambarasu na czole, i zresztą nie tłomaczy niczego. Kościół dla błahych powodów rozwodu nie daje, jeżeli zaś powody te były ważne, a mimo to takiej natury, że już przy drugiem spotkaniu eksmałżonków pozwalały na „odgrzewanie miłości“, to chyba naturalnem jest żądanie wysłane pod adresem autora: „Mów, co to było!“ Pan Krzywdzic nie odpowiada, bo odpowiedzieć nie umie, a nie uprawdopodobniwszy niczem sytuacyi, tak na początku jak na końcu sztuki stawia nam zagadkę.

Darowałbym jednak ten hiroglif autorowi sobotniej premiery, gdyby na kruchym fundamencie zbudował gmach artystycznie skończony. Stało się jednak inaczej. Rusztowanie jest niewątpliwie zręczne, linie wznoszą się i krzyżują dość harmonijnie, ale całość sztuki, niesmaczna ornamentyka i fałszywy koloryt psują to, co w sztuce jest piękne i dobre, psują a przynajmniej zacierają prawidłowość szkieletu. Jest n. p. ładna scena, gdy stary Ciot przed krzyżową drogą do wrót cytadeli żegna się z córką. W urywanych słowach dyalogu, w łzach i w jękach tłumionych jest sporo uczucia, lecz nagle w kulminacyjnej chwili siada jedna z osób do fortepianu i wali hymn narodowy. To jest i nieprawdziwe i śmieszne. Ten fortepian nie podnosi nastroju, lecz psuje cały koloryt. Albo znów na początku aktu czwartego wprowadza autor dyalog chłopa polskiego z sołdatem rosyjskim. Rozmowa posiada dużo prawdy i humoru, na końcu jednak zjawia się nagle grymas melodramatyczny: — sołdat zaczyna się skarżyć, że nie miał matki, któraby go nauczyła czuć i kochać. W ustach tego sołdata brzmi ten Byronowski akcent zupełnie sztucznie i fałszywie. Pan Żegota Krzywdzic pamięta bezustannie o publiczności trzeciego piętra i tak go kuszą tanie oklaski tych wyżyn, że choćby zaczął jak najlepiej scenę, w zakład iść można, że ją źle zakończy. A przytem nie posiada on w naturze swego talentu tego subtelnego poczucia barwy, które dyalogowej stronie dramatu nadaje charakter prawdy i życia. Jest coś forsowanego, coś sztucznego w jego stylu i jego dowcipach, że tylko przypomnę tu kłótnię starej werystki Jastrzebianki z cholerykiem i cynikiem Szafrańcem. Rozumiem, że nawet w salonowych stosunkach ludzie się uniosą, — rozumiem, że pewna dążność do plastyki wysłowienia tkwi w charakterze Jastrzębianki, ale sposób, w jaki przemawia prawdomówna panna, graniczy już z tynglem lub burszowską knajpą, i zamiast działać humorystycznie, budzi tylko niesmak w danych warunkach. Przytem ma autor „Odgrzewanej miłości“ pewien zasób dowcipów pozbieranych z bruku, a przyklejonych znowu do sztuki, jako wabik na galeryę. I tak psując po kolei najlepsze sceny, prowadzi nas autor aż do piątego aktu, który się kończy patryotycznym okrzykiem starego Ciota. Ale ten okrzyk mieści w sobie znowu sporo niesmaku, bo zamiast po prostu powiedzieć do chorej żony: „Nie znalazłszy w ojczyźnie spokoju, musimy go szukać na obczyźnie“, woła stary Ciot emfatycznie: „Pojedziemy na południe, pojedziemy na Rivierę“. Ta modna Riviera, przypominająca nam rendez-vous eleganckiego świata, zielone stoliki i francuskie romanse, działa wprost komicznie na słuchaczów. A jednak raz jeszcze powtarzam, że bez talentu nie jest autor „Odgrzewanej miłości“. Ma nerw dramatyczny, umie budować rusztowanie sceniczne, umie ożywiać postacie swoje. Za mało to jednak dla prawdziwego artysty i dla tego utwory jego pozostaną zawsze połowicznemi dziełami sztuki.

Wykonanie sobotniej premiery było prawie bez zarzutu, — jeżeli liczyć się wolno z warunkami prowincyonalnego teatru. Zastrzeżenie to wydaje mi się koniecznem ze względu na właściwość wielu artystów i artystek, którzy zdobywszy sobie poklask krytyki poznańskiej, są najmocniej przekonani, że gdyby tylko umieli po włosku, niemiecku lub francusku, to w kąt Rossi, Kainz i Sara Bernhard. Pyszałkowatość taka świadczy nietylko o umysłowej nicości, lecz hamuje rzetelną pracę i dążność do postępu artystycznego. Ostre to słowo nie będzie się niewątpliwie podobało rozmaitym kandydatom i kandydatkom do wielkości, lecz przekonawszy się, jak artyści fałszywie pojmują względność naszych recenzyi, jak zrozumieć nie mogą, że to, co w Poznaniu nazywać się musi dobrem, na wielkiej scenie nazywałoby się tylko miernem, jak wreszcie każdą uwagę krytyczną bez cukru poczytują za niegodny zamach na imaginacyjną wielkość, — zdecydowałem się takim strumieniem zimnej wody przywrócić do równowagi naszych pseudo-Salvinich i nasze pseudo-Dusy.

Miary poznańskiej nie stosuję oczywiście do p. **R y g e r a**, bo z dniem każdym przekonuje mnie coraz wyraźniej gra tego artysty, że nawet wybrednej krytyki lękać się nie potrzebuje. W „Odgrzewanej miłości“ odtworzył Ryger rolę Kobylina, a mimikę, dykcyę i ruchy zespolił w całość dziwnie interesującą, dziwnie prawdziwą i dziwnie plastyczną. Na szczególne odznaczenie zasługuje także pani **S t ę p o w s k a** w roli dzielnej Kobylinowej. Była to postać wystudyowana dokładnie, pełna werwy, życia i „szerokiej natury“. Po nieszczęśliwej roli Amelii w Mazepie znalazła się panna **T a ń s k a**, jako Matylda, znowu w właściwym żywiole, ukazując nam wierny typ nerwowej i egzaltowanej histeryczki. Mniej natomiast zadowoliła mnie p. **B i e r n a c k a** w roli Bronisławy, bo lubo gra jej była chwilami poprawną a w ostatniej scenie aktu czwartego nawet bardzo piękną, to w końcowych, silnie dramatycznych momentach zabrakło jej prawdziwej energii, zabrakło groźby i gniewu, zabrakło przejmującej boleści. Z innych artystów zasługują na wyszczególnienie pani **K r ó l i k o w s k a** w roli energicznej Jastrzebianki, — p. **O l s z e w s k i** i p. **J a k u b o w s k i** w dyskretnie a stylowo odegranych rolach Mordowcewa i Szafrańca, — oraz panowie **C z e r n i a k** i **S z a t k o w s k i**. Całość zdradzała rękę doświadczonego reżysera, a trudne zakończenie aktu trzeciego było wręcz wzorowe pod względem ruchu i układu.

W. R.

TO I OWO.

Żyłka karciarska.

Pod adresem grasującego w Warszawie karciarstwa wypowiada kilka trafnych uwag A. Swiętochowski w ostatnim numerze „Prawdy“. Przytaczamy jeden wyjątek artykułu, który i do naszych stosunków wybornie zastósować można.

„Kilka pism — mówi Swiętochowski — wystąpiło z żądaniem, ażeby kluby tutejsze wypłoszyły ze swoich siedzib „ptaszków niebieskich“, (Zawodowych graczów. Przyp. Red.) oraz zaprzestały gier hazardownych, i przechwalają się już nawet tryumfem swojego wpływu. Pozwolę sobie całą tę agitacyę wraz z przechwałką włożyć między bajki. W społeczeństwie, w którem ludzie zabijają się przy zdobywaniu losów na loteryę, w którem tłumy rzucają ostatnie grosze w paszczę totalizatora, w którym pożyczka premiowa jest przedmiotem najwyższych marzeń oszczędzającego biedaka, w którem zebranie towarzyskie bez kart skleić się nie może, w którem ofiary lichwiarzów przegrywają podczas jednego wieczoru po kilka tysięcy rubli, w którem na hazardzie opiera się wychowanie dzieci, związki małżeńskie, przedsięwzięcia ekonomiczne, instytucye społeczne — trudno nożem papierowym wyciąć gangrenę. I zresztą tego rodzaju choroby nie leczą się żadną doraźną operacyą. Usuwają się one tylko przez hygienę moralną, przez odpowiednie kształcenie jednostek od dzieciństwa, przez wszczepianie w umysły poważnych pragnień, przez wskazywanie dążeniom wzniosłych celów, przez nadawanie uczuciom szlachetnych kierunków. Pozostawmy więc tych, co grają, ich namiętności i nie próbujmy nawet ich krępować. Głęboka rana, zasklepiona z zewnątrz, nie goi się; ona musi zrastać się od dna, wytwarzać stopniowe granulacye, które ją wypełnią zdrowem ciałem. Ile razy więc widzimy szulerów, marnotrawców, próżniaków, zwracajmy się do młodych pokoleń i ubezpieczajmy je stósownemi środkami przeciw złym nałogom i występkom. Opowiadano mi, że gdy na zebraniu pewnego stowarzyszenia ktoś zaproponował usunięcie gry w karty, większość podniosła taki krzyk, jak gdyby ów bluźnierca zażądał od zgromadzonych w kościele usunięcia cudownego obrazu. Oburzonym członkom zdawało się, że Samson ujął kolumnę ich klubu, wstrząsnął nią i wkrótce całe sklepienie zwali na głowy obecnych, którzy zginą pod gruzami. Tych już żaden morał nie poprawi, ale ich dzieci mogą być ocalone od kultu dla kart. Nie znam dokładnie literatury dzieci i młodzieży, nie przypominam sobie jednak, ażebym w niej spotkał książeczkę, obrzydzającą małym czytelnikom gry hazardowne. A przecież jest to nałóg zbyt niebezpieczny i zbyt w społeczeństwie naszem rozpowszechniony, ażeby można było nie podcinać mu korzeni. Wiem, co na usprawiedliwienie jego rozwoju przytoczyć by się dało, wiem, że on najbujniej wyrasta na jałowym gruncie życia, na niezużytkowanych w dobrem namiętnościach, na bezczynnych siłach, na próżnujących uczuciach, ale to, co go tłomaczy, nie zmienia jego natury i działania, które są złe“.

* * *

Szkoła przemysłu artystycznego.

Z Krakowa piszą do nas: Szkoła przemysłu artystycznego p. Kotarbińskiej otwartą została po trzymiesięcznej wakacyjnej przerwie. Założenie szkoły tak potrzebnej, mającej cel bardzo szlachetny, a zarazem bardzo praktyczną doniosłość, było przykładem rozumnej inicyatywy. Obecny rozwój

kursów, liczba uczennic, świadczą, że szkoła uzyskała już trwałą podstawę. Każda szkoła artystyczno - przemysłowa ma o tyle i taką wartość, o ile zdoła połączyć dwa istotne warunki: estetyczny i handlowy, zaspokoić wymagania artyzmu, a zarazem zapewnić uczennicom stałe źródło zarobku. I w jednym i w drugim kierunku szkoła p. Kotarbińskiej spełnia zadanie. Zgromadzone obficie wzory przedstawiają motywa ściśle stylowe a nadto najnowsze reprodukcye pomysłów dostarczanych dla wyrobów angielskich i francuzkich przez wybitnych artystów, biorących w ostatnich czasach żywy udział w uszlachetnieniu sztuki stosowanej do przemysłu. Przedmioty, które wyszły z warsztatu szkoły, rozsyłane sklepom lub na miejscu sprzedawane, znajdują podobno niezwłocznie nabywców. Jest więc i rozwinęła się w Krakowie instytucya, w której kobiety zamożniejsze mają nauczyć się, jak upiększyć swoje mieszkanie, sprzęty i drobiazgi otoczenia, a co najważniejsza, mniej zamożne mogą znaleźć tak zawyczaj trudny zarobek, przy wprawie i uzdolnieniu nawet podstawę utrzymania i bytu. Wydział krajowy uznając żywotność i potrzebę szkoły, przyznał jej zeszłego roku subwencyę. Dotychczasowe działy powiększyła nauka dwóch nowych gałęzi przemysłu: zakopiańskiego wycinania w drzewie i wytłaczania na skórze.

Na Wyłomie.

(Nieco osobistej goryczy. — Niepoprawni. — Jak „Kuryer“ mówi? — Jak odpowiada „Dziennik P.“ i „Reichsanzeiger“? — Nowy redaktor.)

Więc znowu tygodniowa gawędka? Dawniej lubiłem bardzo ten kącik feljetonowy, w którym człowiek tak gwarzy, niby przy kominku a niby z katedry. Tak... dawniej, — gdy się wierzyło jeszcze, że skoro się w stęchłej piwnicy poznańskiej wybije okna i przeczyści strzałami powietrze, to ludziom — pergaminom wrócą rumieńce, mgła się rozwieje, co ich mózgi mroczy, i słońce witać będą z radością. Lecz oni zwlekli się z posłania i wybite okna jeszcze szczelniej gliną zalepili. Więc się nie dziwcie, że czasami ogarnia duszę znużenie, i tak się odrabia pracę dziennikarską, jak twardą robociznę, z cichem pragnieniem, by uciec jak najdalej.... „l o i n d e l'i n c e s s a n t d é l u g e d e l a s o t t i s e h u m a i n e“.

Po tej szarańczy smutnych doświadczeń politycznych, która w ślad polityki ugodowej rzuciła się na niwy wielkopolskie, pochłaniając tak wiele, tak wiele z tego, czem się ciało i duszę karmiło, zdawało się chwilami, że nasi marzyciele i tronoluby oprzytomnieją. Toż każdy człowiek upija się czasem, jeżeli nie winem, to jakąś myślą, jakiemś urojeniem, jakąś chimerą odurzającą, lecz gdy bańki mydlane pryskają o stal rzeczywistości, gdy powiew mroźnego wiatru zwarzy jeden kwiat marzeń po drugim, to wreszcie wraca równowaga i trzeźwy rozsądek. Zostaje tylko garść niepoprawnych zaślepieńców, garść chorych ludzi, a biada narodowi, który losy swoje powierza takim śniącym bez końca Endymionom.

A nas nic nie budzi, nic. Kuryer starym zwyczajem wyśpiewał u wrót nowej sesyi parlamentarnej poemat o cesarskiem sercu i starym zwyczajem ogłosił bałamutną satyrę o „ludziach złej woli“ i „krótkowidzach politycznych“, nie chcących uznać „programów przyszłości“ i „nowych horyzontów“ lub jak najświeższa kabalistyka stylowa tego organu opiewa: „podporządkowania potrzeb gospodarstwa domowego postulatom t. zw. wyższej polityki“ i „przystosowania pracy organicznej do czynnej akcyi na zewnątrz“. Po zmudnem odcyfrowaniu tych hiroglifów językowych, które prawdopodobnie mają wywierać wrażenie filozoficznej głębi w rodzaju Heglowskim, pozostaje „ein Lied aus alten Zeiten“, najczystsza, niczem niesfałszona, potężnym głosem zagrana pobudka do wskrzeszenia dawnych iluzyi, dawnego pełzania i dawnych szachrajstw politycznych, w których oszukaną była zawsze Polska.

Lecz oto niespodziewany odezwał się protest. Prowizoryczny redaktor „Dziennika Poznańskiego“, p. Józef Głębocki, uderzył w śpiew łabędziowy. W tej samej chwili, gdy kruk zakrakał — w tej samej chwili, gdy „Józef biały“ zdobywał królestwo „Czerwonego“, w tej samej chwili redaktor-banita rzucił Kuryerowi i całej polityce ugodowej swoje „Liberum veto“. Żądano od niego programu — milczał. Dziś, gdy mu berło wytrącają z ręki — przemówił, a dawno już głos tak rozumny, tak śmiały i tak energiczny nie odezwał się w łamach „Dziennika Poznańskiego“. Jest tam i ślina dla tych, którym się wydaje, że w wyłączną dzierżawę wzięli „rozum polityczny“ i „dobrą wolę“, jest promień trzeźwej logiki rozpraszający mgły ugodowe, jest okrzyk: „Baczność! bo na trzęsawiska kuszą was kuglarze“. Przypomniał się „Dziennik“ z przed 20 laty, — ten dziennik, który umiał jeszcze mówić jędrnie i treściwie, nie bawił się w jeden krok naprzód i dwa kroki w tył, nie drapował się w mrok dwuznaczników, aby czerwonych pogłaskać, a białym dogodzić, i miał odwagę dumnie nosić swój płaszcz polityczny, a gdy Q u i v i v e? zabrzmiało nad uchem, wołał imię swoje, wołał swoje „Jestem“. Piękne to były czasy, ale minęły tak dawno. Śpiew łabędziowy p. Głębockiego znów je przypomniał. Wdzięczni mu za to jesteśmy.

A w ślad za głosem Dziennika zagrało echo... w Berlinie. Na Kuryerowe modlitwy u stóp tronowych ołtarzy, na Kuryerowe piosenki o cesarskiem sercu odpowiedział sam monarcha, sam Wilhelm II w łamach „Reichsanzeigera“. Takiego zaszczytu nie spodziewał się Kuryer nigdy, więc zgiął kolana i słucha w pokorze. A oto mówi król pruski i cesarz niemiecki: „W dowód uznania za pomoc Koła polskiego w walnych zapasach o projekt wojskowy i traktaty handlowe, — w dowód uznania za tę głęboką wiarę w słońce tronowe, której, jak Kuryer powiedział, „bramy piekielne nie przemogą,“ — rozporządzamy, aby na przyszłość czerwono-białe barwy prowincyi poznańskiej zamieniły się w żałobne czarno-białe kolory. Wy, którzy tak często zapewnialiście mnie o przywiązaniu do pruskiej monarchii, wy „Prusacy polskiego języka“ dumni będziecie, że nowa barwa, ta barwa pruska, stanie się widomym znakiem zjednoczenia i zacieśni węzły, których tak gorąco pragniecie“.

Przedziwne losu zrządzenie! W tydzień po artykule Kuryera nastąpiła odpowiedź w „Reichsanzeigerze“ i brzmi jak straszna ironia. Tak! to już nie szept dyplomatyczny, nie protest zamglony, lecz zgrzyt przeraźliwy: „My nie chcemy i nie potrzebujemy waszych umizgów. A jeżeli ktokolwiek w polskim narodzie ludzi się jeszcze, że mamy zamiar uszanować wasze tradycye i uczucia narodowe, to mu zapowiadamy głośno i wyraźnie, że droga Bismarcków jest i naszą drogą. Wstecz nie pójdziemy! Drwimy sobie z wyssanej cytryny Koła polskiego i drwimy z całej komedyi ugodowej.“

Ha! jak to zgrzyta, jak to rzechoce się na całe gardło! A oni? Nie szukajcie u nich rumieńców na twarzy, bo oto jak na urągowisko ster „Dziennika Pozn.“ przechodzi w ręce najbielszego z wszystkich Kuryerowiczów, D r. W ł a d y s ł a w a Ł e b i ń s k i e g o. Nazwisko to mówi wiele. Wieść niesie, że osławiony artykuł „Kuryera“ pt. „W dzień urodzin cesarskich“ wyszedł z pióra tego niewątpliwie zdolnego publicysty, lecz zarazem jednego z tych fanatyków politycznych, u których doktryna ugodowa stała się szałem spienionym, i którzy konając, jeszcze wołać będą: „Przy Tobie Najjaśniejszy panie stoimy i stać chcemy“.

Tak! losy „Dziennika poznańskiego“ zapieczętowane! A ty inteligencyo wielkopolska milczysz? Znasz ty niemiecką baladę pt. „Rattenfänger von Hammeln.“ Gdy zagrał na piszczałce, szły za nim szczury i dzieci do wodnej topieli. Czyż szczurem lub dzieckiem będzie „kwiat narodu.“?

Sulla.

KRONIKA POWSZECHNA.

— **Teatr i muzyka.** W ubiegły wtorek i czwartek koncertował w teatrze naszym p. Lewiński, skrzypek z Krakowa. Gra młodego artysty posiada niewątpliwe zalety techniczne, lecz dla braku duszy nie wywiera silniejszego wrażenia. — Pan Zygmunt Przybylski napisał nową komedyę p. t. „Znawca kobiet“. — Adam Münchheimer wykończył muzykę do tekstu włoskiego Władysława Müllera „Il vendetatori“. — Najbliższą nowością w teatrze poznańskim będzie premiowany melodramat Pawła Kośmińskiego p. t. „Zły duch“.

— **Także humorystyka.** Jedno z pism poznańskich krytykując rozporządzenie cesarkie w sprawie barw prowincyonalnych, sięga w dziedziny techniki malarskiej i taki klei dziwoląg: „Pan Kossak, współtwórca panoramy Racławickiej, zamierza podobno szkice z polowania grunwaldzkiego wykonać nie akwarelą kolorowaną tylko c z a r n o - b i a ł e m i p a s t e l a m i, w k t ó r y c h w i ę c e j b ę d z i e b i a ł e g o **guaszu**, j a k c z a r n e g o o ł ó w k a“. — W czarno białych pastelach biały guasz — istny groch z kapustą. Aleź. szanowni koledzy, nie operujcie pojęciami, których nie rozumiecie, bo wtedy dowcip zwróci się przeciw wam samym.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

— **J. A.** „Wyklętych“ zamieszczamy dzisiaj. O umieszczeniu wspomnień Mokriewicza i artykułu o Adamie Szymańskim rozstrzygnąć możemy dopiero po przeczytaniu. Prosimy uprzejmie o nadesłanie prac proponowanych.

— **Do Inowrocławia.** Tego rodzaju objawy pełzającego lojalizmu już nas przestały dziwić. Wstąpienie k s. L a u b i t z a i k s. d r. W a r m i ń s k i e g o do komitetu, zajmującego się zbieraniem składek na pomnik Wilhelma I. w Inowrocławiu, jest zupełnie w stylu „nowych horyzontów“. Że pod berłem zmarłego cesarza katolicyzm był uciskany i polskość deptana, to tych panów mało obchodzi. Maluczko, a pojadą z wizytą hołdującą do Warcina. Na szczęście nikt z Polaków nie podążył ich śladem. Jest ich dwóch tylko, dwóch k s i ę ż y polskich w czysto niemieckiem otoczeniu.

BIBLIOGRAFIA.

(Książki nadesłane redakcyi).

44. A o n a j e d n a k s i ę n i e o b r a c a! Studyum astronomiczne na nowej podstawie. Kraków 1896. Nakł. W. L. Anczyca i Sp.

Aleksander Kraushar. O f i a r a t e r o r y z m u. Legenda i prawda o tragicznym zgonie Rozalii z Chodkiewiczów ks. Lubomirskiej, ściętej w Paryżu w r. 1794. Kraków 1897. Nakł. G. Gebethnera i Sp.

Dr. med. H. Lachmann. Z a s a d y n a t u r a l n e g o l e c z e n i a. Zeszyt I. W jaki sposób odzyskamy zdrowie. Tłom. S. S. Będzikiewicz. Kraków 1896.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28